

ANIOŁ STRÓŻ.

Czasopismo dla dzieci i młodzieży polskiej.

Wychodzi co tydzień.

Rodzinna chatka.

Chcę w naszej chatce wcale nie bogato,
Jest w niej nam, dzieciom, tak dobrze i miło
I gdy do miasta raz mnie zabrał tato,
Tak za mą chatkę wnet mi smutno było...

W niej mnie mateczka uczy bardzo wiele
Nawet sukienkę sama sobie zrobię;
Na księżce także modłę się w kościele,
No, i na drutach ładną siatkę robię...

Chcę w naszej chatce wcale nie bogato,
Ja naszą chatkę kocham całym sercem,
Przed jej oknami co wiosna, co lato,
Kwiateczki kwitną wzorzystym kobiercem.

W niej przed obrazem Przenajświętszej Matki
Rano i wieczór składam modły moje,
A gdy zakwitną fiołki i bratki,
Zbieram z nich bukiet i obraz nim stroję...

Dzieje Narodu Polskiego

OKRES IV.

(Ciąg dalszy.)

**Unia Lubelska czyli połączenie się
Polski i Litwy r. 1569.**

Najważniejszym wypadkiem za panowania
Zygmunta Augusta jest połączenie Polski, Litwy
i Rusi w Lublinie r. 1569. Połączenie to zowie

się zwykle krótko Unią Lubelską. Unia jest
wyraz, pochodzący z łaciny, znaczący tyle co zje-
dnoczenie Polski i Litwy; w mieście Lublinie
się odbyło, przeto mówi się krótko Unia Lubel-
ska, a już każdy wie, co to znaczy.

Powiedzieliśmy już wyżej, że Polska i Li-
twa miały wprowadzić jednych i tych samych
rządców, ale zresztą każda stanowiła oddzielne
państwo, mające osobny sejm, osobne prawa, o-
sobne wojsko i t. d. Usiłowali Polacy oddawna
ściśle z Litwą się złączyć, ale przeszkadzało temu
możni panowie litawscy, obawiający się, aby ich
znaczenie nie podupadło. Nakoniec Zygmunt
August, uprzątnąwszy wszystkie zawady, piękne
dzieło połączenia trzech ludów, w jedną całość
do skutku doprowadził.

R. 1568 zwołał Zygmunt August sejm polski
i litewski do miasta Lublina. Pierwszy raz ra-
dzili Polacy z Litwinami pospólnie. Długo trwały
narady, aż nakoniec 11 sierpnia 1569 r. uroczyste
połączenie Litwy i Polski nastąpiło, widniał tym
bowiem podpisał król akt połączenia dobrowol-
nego narodów. W tym dokumencie, ową wieko-
pomną ugodę zawierającą, powiedziano między
innymi: „Iż już Korona Polska i Wielkie
Księstwo Litewskie jest jedno nierozdzielne i nie-
różne ciało, a także nieróżna, ale spólna Rzecz-
pospolita: która się z dwu państw i narodów
w jeden lud zniosła i spoiła.”

Jak zawsze Polacy od Boga zaczęli i z
Bogiem kończyli swe sprawy, tak i owego połą-
czenia dokonali w kościele XX. Dominikanów w
Lublinie, który kościół założył był Kazimierz W.,
pierwszy co dokonał zjednoczenia Polski i Litwy.
Uroczyste nabożeństwa odbywały się na podzię-
kowanie Bogu za dozwoleństwo tak wielkiej łaski,
bo zaprawdę miłość, zgoda, jedność, braterstwo
są łaską i błogosławieństwem Boga. Potem Po-
lacy i Litwini ściskali się jak bracia, ciesząc się
z dokonanego połączenia.

Odtąd polski orzeł i litewska pogoń (herb Litwy stanowiła pogoń, t. j. jeździec na koniu) na wspólnych chorągwiach powiały, odtąd Polacy i Litwini dzielili i dzielą radość i smutek, szczęście i niedolę.

Łączyły się wprowadzić nieraz i dawniej i później narody w jedną całość, ale najczęściej mieczem. Połączenie Polski i Litwy, dokonane dobrowolnie bez krwi rozlewu, jest, można powiedzieć, jedyne dotąd w dziejach świata. Daje ono piękne świadectwo naszym przodkom, że nie mieczem, ale miłością, zgodą, wolności pręciągali do siebie narody.

W roku 1869 odbyła się trzechsetna rocznica połączenia Polski, Litwy i Rusi. Uroczystość tę święcili wszyscy Polacy.

Pałac i chata.

Panna Izabella, w pięknym mieszkając pałacem, zbyt wysokie o swojej pańskości miała rozumienie.

Raz przyszła do niej Marysia, córka ubogiego mularza i rzekła: Mój ojciec, śmiertelną złotą chorobą, kazał prosić panią, abyś raczyła go odwiedzić, bo ma coś ważnego do powiedzenia.

Izabella odrzekła zyderezo: „A to coś bardzo ważnego być musi, kiedy tak chudy nacholek mnie wzywa! Idź skądś przyszła. Ja do waszej chaty nie pójdę, bo nie widzę tego potrzeby”.

Po chwili, znów Marysia wraca i woła zadyszana: „O droga panią, chodź prędko ze mną! Nieboszczka jej matka kazała podczas wojny dużo złota i srebra zamurować, dając rozkaz mojemu ojcu, aby tego nikomu nie wyjawiał, lecz żeby to samej tylko powiedział panience, gdy rok dwudziesty ukończy. Mój ojciec bliskim jest śmierci i dłużej czekać nie może”.

Izabella pobiegła co prędzej do chatki mularza, lecz gdy weszła do izby, pocziwy ten człowiek już skonał.

Zła teraz była sama na siebie; rozpacz i zgryzota ją ogarnęły. Kazała wprowadzić szukać w pałacu i po różnych miejscach rozwaląc mury, ale skarbu nigdzie nie znaleziono.

O jakże ciężko teraz bolała, że przez swą pychę tak pocziwego i unierającego zasmuciła człowieka, a sama tak wielkich pozbawiła się bogactw! Lubo ten żal poniekał z chciwości pochodził, a jako taki mało miał wartości, to przecież uznawała tę prawdę:

Serce nieczułe i umysł zbyt hardy,
Dozna zgryzoty, dla bliźnich pogardy.

O śpiącym wojsku na Śląsku.

(Podanie ludowe.)

Okrutni Tatarzy napadali często Polskę, pustosząc ją straszliwie. Raz zapędzili się aż na Śląsk, pod Trzebnicę i tutaj spotkali się z wojskiem polskim, ale tak małym, tak nielicznym, że na jednego z łowczy wypadła aż dziesięciu Tatarów. Bili się też Polacy dzielnie i prawie wszyscy zginęli.

Dowiedziawszy się o tej klęsce, św. Jadwiga, księżniczka śląska, uprosiła u Matki Boskiej, aby zranionemu dowódcy wróciła zdrowie, a wszystkim za wiarę świętą poległym, śmierć na sen zamieniła, jako nagrodę za ich bohaterstwo.

Matka Boska spełniła życzenie Świętej. Lecz też oni wszyscy w ogromnej jaskini, uspieni snem twardym, ale żyją; tylko dowódca nie śpi, lecz czuwa, siedząc na kamieniu i odmawiając modlitwy.

Dawnymi czasy jaskinia ta była nie bardzo głęboko pod ziemią. Raz, pewna dziewczyna, zabłąkawszy się, weszła tam, a zobaczywszy owych śpiących rycerzy, zlekła się; uspokoił ją jednak dowódca i kazał wracać do domu, ostrzegając, ażeby nie poruszyła dzwonu, u wnijscia wiszącego. Nieposłuszna dziewczyna umyślnie go poruszyła: a na dźwięk dzwonu wszyscy wojacy powstali ze snu i stanęli pod bronią. Wtedy dowódca rozgniewany, zeszedł z wojskiem głębiej pod ziemię, tam się zamknął i odtąd nikt jaskini tej znaleźć nie może. Ale kiedy będzie wojna o wiarę, dowódca sam w dzwon uderzy, a śpiący rycerze wstaną i wówczas zwyciężą.

Podróż do nieba.

(Sen dziewczyny w noc gwiazdkowej.)

Było to w wigilię Bożego Narodzenia. Miasto całe jaśniało od światła, które biło z każdego okna licznych domów stolicy. Wszędzie święcono starodawny obchód gwiazdki, wszędzie weselono się, radosny odgłos kolend rozległ się dokoła, a wesole pienia wzbijały się ku niebu. Ludzi już nie widać, bo każdy pośpiesza do domu cieszyć się i weselić swoimi.

Wejdzmy do jednego domu: W jasnym, ciepłym pokoju na miękkim, czystym łóżeczku leży chora dziewczyna. Zaledwie lat parę minęło, jak złotowłosa aniołeczek, w postaci malutkiego

Jasia, zstąpił z wysokiego nieba na ziemię — zaledwie pierwsze wyrazy „mama” i „tata” skłaniać poczęły, a już musiał się położyć w łóżeczko. Z nie nieznaczącego na pozór bólu główki, powstała gorączka i biedny Jasiuś chorował długo, słabł coraz bardziej i dziś właśnie widzi my go, jak blady, z przymkniętymi oczkami i złożonymi rączkami leży już prawie bez duszy.

Mały aniołek miał wrócić do nieba! Strapieni rodzice czuwają nad nim troskliwie, a matka wraz z piastunką dzień i noc przepędza u łóżeczka i z głębi kochającego serca szle westchnienia i modlitwy do Boga.

Jasiuśko właśnie usnął. Zdawało mu się, że był zupełnie zdrowym i wesolym. Na dworze sucho było, a ponieważ to był dzień sobotni, świeciło słońce na cześć Najświętszej Panny, a drobnutki śnieżek polatywał i przysypywał ziemię białym pyłkiem. Jasiuś wyszedł przed dom i ujrzał małe saneczki. Wesolo usiadł na nie, a te saneczki poczęły się sunąć po gładkiej drodze i za chwil kilka zniknął mu z oczu dom rodzinny. Z początku jechał zwolna, ale wnet saneczki sunęły się coraz prędzej po skrzypiącym śniegu, sunęły rażno, przez pola, ogrody i dalej, coraz dalej w górę. Jasiuś otulony ciepłym futerkiem, nie czuł zimna, chociaż mroźny wiatr wyplęł mu dwa rumieńce na policzkach.

Wesolo pędził Jasiuś dalej.

Już znikła mu z przed oczu ziemia, a drobnutki śnieżek, co prosił, wołał doń wesolo: „Pójdź ze mną, pójdź ze mną!” Jasiuś też jechał na saneczkach i śmiał się do leżących płatków śniegu i igrał z wiatrem, wznosząc się coraz wyżej. Zdawało się, że nie wyrażnie, coś na kształt zamku, bo Jasiuś widział niby mury mgłą owiane, widział świetlka i błyszczące gwiazdy, ale nie wiele na to zważał, bo siedząc na saneczkach, jechał szybko po białutkiej drodze.

Nareszcie przybył pod jakąś bramę. Tu nagle stanęły saneczki, a Jasiuś mimo woli wysiadł i zbliżył się do bramy. Przy furcie stał siwy, jak gołąbek staruszek, z długą, także siwą brodą, trzymając złociste klucze w ręku. Nie śpieszył to, co leciał kręcąc się wesolo, przyprosił mu głowę, włosy jego białeły od starości. Staruszką tym był sam św. Piotr, fartyan niebieski.

— Dziecino moja — odezwał się — pójdź niech cię wprowadzę między aniołów.

— Dziaduniu mój — rzekł Jasiuś — daleko ty mieszkasz od mamy. Mama i tatko zostali tam na dole i nie wiedzą, gdzie jestem. Ot, stądż ze mną i powróć do mamy.

— Zalujesz jazdy Jasiu?

— Dziś, pierwszy raz tej zimy sankowałem

się, ale jaka to była sanna? Oh! szkoda, że tak krótko... takie ładne saneczki.

— Widzisz dziecino — rzekł św. Piotr — do nieba krótka droga, prędko do nieba dojść można, ale ludzie nie chcą widzieć, gdzie ukryta ścieżka, co do Boga wiedzie.

— Mój dziaduniu — zapytał nagle Jasiuś — mówisz, że do nieba krótka droga. Jaki? do nieba?

— Tak. Przyjechałeś do nieba mój Jasiu. Pójdź więc ze mną, wszak widzisz, że noc już nadchodzi. Spieszmy się. Dziś przez cały dzień nie wprowadziłem nikogo jeszcze do nieba.

I staruszek święty wziął Jasiuśa za rączkę i wprowadził go przez bramę w krainę niebios. Tu otoczyły Jasiuśa chóry aniołów i oto w jednej chwili skrzydła białe błysnęły mu u ramion. Jasiuś przemienił się także w aniołka i wesolo ulatował z towarzyszami, śpiewając hymn na cześć Boga.

Ciekawie, z wesolymi oczkami przeleciał Jasiuś wkrótce całe niebo; widział to, czego jeszcze żadne oko nie widziało, — słyszał, czego żadne ucho nie słyszało, a duszyczka jego niewinna radowała się wielce widząc szczęście, jakie tylko gdzieś na ziemi odkryć można w czystym, niewinnym serduszkach. Przelatując tak z miejsca na miejsce, przybył Jasiuś na powrót do bramy niebieskiej i znów widział przy niej staruszkę świętego, który trzymając złote klucze w ręku, smutnie spoglądał na ziemię i na ludzi na niej żyjących.

(Dokończenie nastąpi.)

Dobry syn.

Bajka z przed lat tysiąca.

Napisał Władysław Bełza.

(Ciąg dalszy.)

Jankowi jednak wcale nie spieszył o się z tego świata, nie tracąc więc otuchy, odparł odważnie:

— A nuż odgadnę?

Wolf spojrział na niego z politowaniem. Naprzód go zdziwiła, a potem obruszyła hardość chłopskiego dziecka — rzekł więc:

— Zgoda! ale pamiętaj, że jeśli nie zgadniesz, na pal cię wbić każę i piec na wolnym ogniu.

Coś niby jak mróz przeszło po kościach Janka, lecz słowo się rzekło, próbować nie zaszkodzi, a nuż się uda?

Wierzył nadto w szczęśliwą swoją gwiazdę, wierzył w bogosławieństwo matki i w osiągnięcie

zamierzonego w podróży celu, do którego wytrwale dążył; więc i na to powtórne pytanie odrzekł z pokorą:

— Mówcie miłościwy panie!

— A więc — zaczął rycerz: — po pierwsze, ile jest gwiazd na niebie? — po drugie, co starsze na ziemi, jęczmień czy żyto? — i po trzecie, co ja myślę? — Daję ci czas do zachodu słońca, lecz ani chwili dłużej! Zgadniesz, to puszcę cię wolno; poszkapisz się to straszne czekają cię męczarnie.

I jakby na stwierdzenie pogroźki, klasnął w rękę.

Liczna dwornia wybiegła z pałacu.

— Zawołać mi kata! — rozkazał.

Zjawi się wkrótce w czerwonym płaszczu kat, o dzikiem jak u żbika spojrzeniu, oparty na błyszczącym toporze, godłe swojej władzy i rzemiosła.

— Nagotować tortury! pal wbić na środku dziedzińca i chrustu na stos nanosić!

Kat skonił głowę na znak, że rozkaz zostanie wykonany, a Wolf rzuciłszy jeszcze jakąś groźbę przez zęby, poszedł kończyć przerwana zjawieniem się Janka biesiadę.

A tymczasem słońce coraz to niżej zapadało, już zaledwie ostatnie promienie widne były na dachach; wreszcie i te zgasły i tylko ogromna, jak krew czerwona tarcza słoneczna, oddalała się spokojnie na spoczynek. W oczach Janka tymczasem kończono wbijać pal z żelaznym grotem, układano stos ogromny, a pomocnicy kata stali opodal z przygotowanymi narzędziami do tortur.

Janek chodził a chodził w kółko; patrzył na to wszystko, modlił się w cichości i pot kroplisty ocierał z czoła rękawem.

Wreszcie na zamkowej wieży zagrali trębacze wieczorną pobudkę... Był to znak zupełnego zachodu słońca.

Z ostatnim dźwiękiem mosiężnej surmy Wolf w gronie licznych rycerzy, wytoczył się z podwoi. Był wesoły, drwiący i śmiał się naprzód z łatwego zwycięstwa.

— No i cóż? mój ty wędrowny szczurze! czy gotów jesteś z odpowiedzią?

Jankowi nagle, jak mgnienie błyskawicy, szczęśliwa myśl jakaś przebiegła a po głowie, bo śmiało wystąpił przed oblicze Wolfa i rzekł:

— Spróbuję miłościwy panie!

— A więc prędko, bez namysłu, odpowiadaj; ile jest gwiazd na niebie?

— Sto tysięcy, dwa razy tyle i przez pół jeszcze tego, a kto nie wierzy, niech przeliczy, odparł Janek z pokłonem.

Wolf szarpnął się rudy wąs i mruknął niechętnie: — Wygrałeś!

— A teraz powiedz: co starsze? jęczmień, czy żyto?

— Jęczmień miłościwy panie, bo ma wąsy!

Rycerz z gniewu tupnął nogą o ziemię, aż jęknęło w kamieniach posadzenie, ale musiał przyznać, że i ta odpowiedź udała się Jankowi.

— A więc ostatnie pytanie: co ja w tej chwili myślę o tobie?

— Wasza miłość — odparł Janek — myśli sobie, że ja pewnie nie jestem tym za kogo się wydaję, a tymczasem, chłop ci ja tylko prosty i nic więcej.

— A niech cię kaduk porwie! szczwany jesteś na wszystkie boki. Nie ma co mówić, spisałeś się gracko, jak tegoby nie potrafił żaden z tych błaznów, dodał, pokazując na dworaków, którzy mu zató głęboko się skłonili — Słuchajże chłopie: zanocować ci pozwolę, bo słowo rycerskie to rzecz nieodwołalna, ale jutro skoro świt — fora ze dwora! żeby cię oczy moje więcej nie widziały, bo na drugi raz nie ujdzie ci tak sucho!

I sapiąc a fukając, zły i zawstydzony, że prosty rozuje polskiego chłopaka zadworował sobie z jego zamorskiej przebiegłości, oddalił się do komnat zamkowych.

VII.

Wróżka Lomiduszka kusi Janka. Janek odrzuca jej rękę dla miłości matki.

Jakoś o samem południu stanął Janek nad brzegiem jeziora, którego wody oblewały do koła rozległą wyspę, na której wznosił się prześliczny pałac, o siedmiu wyniosłych wieżach i siedmiu zamczystych bramach. U brzegu kołysała się na uwięzi kolorowa łódka, a obok na murawie leżało srebrne wioselko. — Nie zastanawiając się nad tem, co robi, wsiadł Janek do czołna i skierował je ku widniejącej z daleka wyspie. Wiatr wiał właśnie w tę stronę, woda była spokojna: szybko więc i bez przygody stanął Janek u celu. — Zaledwie jednak na brzeg wyskoczył, czoleńko jakby porwane czarodziejską siłą odbiło od wyspy i całym pędem płynęło ku przeciwnemu brzegowi, a spokojne dotąd jezioro, nagle wzburzyło się, zwolniło i straszna zaczęła nim miotać burza.

Dziwił się Janek temu niezwykłemu zjawisku, nie mógł go sobie wytłumaczyć, stał więc na brzegu i patrzył bezmyślnie przed siebie; to na uciekające czoleńko, to na wzburzone wody jeziora, że ani spostrzegł, jak śliczna postać cudnego dziewczęcia, stanęła tuż przy nim, i srebrnym głosikiem pozdrowiła go przyjaźnie:

— Dobrze po południu, Janku!

(Ciąg dalszy nastąpi.)